



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: WOLNA DROGA DLA POETÓW

Jednym z pierwszych filmów radzieckich, jakie oglądałem po wojnie, była komedia „Zwariowane lotnisko”. Nie przypominam już sobie dzisiaj nazwisk reżysera ani aktorów. Pamiętam tylko, że wraz z całą salą tarzałem się ze śmiechu na widok nieprawdopodobnych wyczynów żołnierza-fajtłapy, który przypadkowo został przydzielony do „jednostki lotniczej” rezydującej na fałszywym polowym aerodromie, na lotnisku-makiecie mającym za zadanie wprowadzać w błąd niemieckie bombowce polujące na zapleczu radzieckiego frontu na lotnicze bazy wypadowe. Bohater filmu wzbudzał nie tylko śmiech. Potrafił jednocześnie głęboko wzruszać. Był nieporadny i niezręczny, ale przy tym marzycielski, tkliwy, serdeczny. Kiedy zaistniała potrzeba, potrafił też zdobyć się na odwagę. Nie była to odwaga książkowa, gazetowa, ale prawdziwa, ludzka. Na ekranie jawi się widzom bohater bliski im samym. Był człowiekiem z krwi i kości. „Prawdziwi” bohaterowie w tym filmie patrzyli na niego, jeśli nie ze wzdrganiem to w każdym razie z lekceważeniem. Ale to właśnie oni, potężni wężale pobrękujący medalami wydawali się płacy i papierowi. Oni bez przerwy mieli na ustach wielkie słowa, on mówił o życiu i miłości. I chyba właśnie, dlatego jemu, „chaplinowskiemu bohaterowi” udało się zdobyć serce pięknej telefonistki. Że równocześnie, niemal przypadkiem, wyprowadził w pole a potem wziął do niewoli cały sztab niemiecki to jeszcze...przydawało mu autentyczności. Ten Grisza czy Kola był pierwszym w oglądanych u nas po wojnie filmach bohaterem lirycznym, po raz pierwszy na ekranie doszła do głosu poezja. Inne filmy, jak „Ona broni ojczyzny” czy „Sekretarz Rejkomu”, odwoływały się do najgłębszych uczuć patriotycznych, budziły grozę albo nienawiść wobec wroga. Jeszcze inne, jak „O szóstej wieczorem po wojnie”, mówiły o miłości wojennej, o przyszłym szczęściu. Ale nierzadko teza ich była wykładana w sposób uproszczony, melodramatyczny. Zresztą nie można im z tego, czynić zarzutu. Były przygotowywane w warunkach niemal polowych, na gorąco, bez bawienia się w tricki formalne, skomplikowane przenośnie, szersze uogólnienia. Miały konsolidować naród do walki z najeźdźcą i zadanie to spełniły w sposób doskonały. Szkoda tylko, że później, w latach powojennych, zdecydowany podział na czarne i białe postaci, charaktery i sytuacje utrzymał się w radzieckim filmie zbyt długo. Miało upłynąć kilkanaście lat zanim do głosu doszli Kałatozow, Czuchraj, Twardowski czy Romm. A

przecież właśnie już w latach czterdziestych zostało zapoczątkowane inne spojrzenie na problem; „wojna i człowiek”. Właśnie w „Zwariowanym lotnisku” i, zgoda, w bardzo specyficzny sposób.

Do takich oto wspomnień i refleksji skłonił mnie film radziecki „Żenia, Żenieczka i Katiusza”, który niedawno wszedł na polskie ekrany. Szedłem nań z dużą rezerwą, opuściłem sale - oczarowany. I tym razem na ekranie rozgrywał się dramat wojenny, ale i emanowała zeń poezja. Realizatorzy nie zawahali się pokazać wojny w całym jej okrucieństwie, lecz też udało im się ukazać ją z mądrym uśmiechem i z liryczną zadumą. Kanwą scenariusza stała się książka Bułata Okudźawy „Jeszcze pożyjesz”, oddająca zdarzenia wojenne, frontowe życie poprzez pryzmat doznań młodego chłopca, nie mężczyzny jeszcze, ale właśnie wyrostka wierzącego w moc poezji, a więc w człowieka, w piękno życia. Komediodramat ten zrobiony został przez ludzi młodych, którzy więcej doznali w życiu dobra niż zła. Może dla tego łatwiej im było wyzwolić się z „typowej” wojennej konwencji, niż starym, dojrzałym reżyserom, którzy sposób, w jaki giną na wojnie ludzie, znają z autopsji. Jak by to jednak zgadzało się z lirycznym nastrojem starego „Zwariowanego lotniska”? Może po prostu do filmu wrócili prawdziwi poeci? Oczywiście, dawniej ich nazwiska także migały nieraz w czołówkach filmowych: Jewtuszenko, Achmadulina, Pożenin, Olga Berholc. Przecież jednak dopiero Okudźawa zyskał pełne zwycięstwo. Nie usuwając w cień reżysera potrafił zwyciężyć publiczność. Słusznie napisał jeden z radzieckich krytyków o filmie reżysera Władimira Motyla i scenarzysty Bułata Okudźawy: „Jest to film poety, wyposażony w specyficzną właściwą tylko temu poecie tonację, specyficzny wyraz plastyczny, specyficzną dramaturgię. Choć może się to wydawać dziwne - tym razem kino nie zbuntowało się przeciw poezji. Bez sprzeciwu przyjęło zaproponowaną mu formę. Widocznie zdarzył się ten szczęśliwy przypadek, że reżyser nie usiłował przewycięzać autora, lecz pracował z nim kierowany tą samą ideą. To zdaje się świadczyć, że i wśród reżyserów zdarzają się poeci...”

Tak, to prawda. Szkoda tylko, że powyższego stwierdzenia nie można odnieść do sytuacji we współczesnym filmie polskim. Co nie przeszkadza spodziewać się i wierzyć, że kiedyś i do naszego filmu trafi więcej artystów nie tylko z dyplomem w kieszeni, ale z prawdziwego zdarzenia.